

Zamurowany patriotyzm

1 lipca 2024

Przyszłość mnie interesuje, więc zajmuję się przeszłością. Z historii, jak się ją zgłębia, można różne wnioski wyciągnąć, nawet takie mądre i pożyteczne. Do takowych zaliczam umiejętność rozróżniania patriotyzmu. Jest patriotyzm oparty na strachu, jest także patriotyzm oparty na odpowiedzialności. Strach rodzi nienawiść, odpowiedzialność buduje solidarność.



Dla polityków spragnionych władzy właściwą drogą jest „patriotyzm strachu”. Powtarzane przez specjalistów są twierdzenia niemieckiego profesora Carla Schmitta, że najważniejszą umiejętnością jest wskazanie wroga; walka z nim jednoczy społeczeństwo w lojalnym poparciu rządu. Władza demoralizuje (to też wiemy z historii), celem polityków staje się jej zdobycie i utrzymanie dla samej tylko rozkoszy rządzenia. Skoro strach (inni delikatnie nazywają to emocjami społecznymi) jest sprzymierzeńcem władzy, to nie powinniśmy się dziwić, z jaką łatwością aparatczycy z K0 wskoczyli w buty PiS-u. Zwłaszcza w sferze będącej „oczkiem w głowie” patriotów; w obronności.

Gdy słucham premiera, tracę orientację, czy to mówi pan Tusk, czy pan Kaczyński. Szczególnym tego dowodem jest wielka wizja

polskiej „linii Maginota”, umocnionego, ufortyfikowanego obszaru na granicy polsko-białoruskiej i polsko-rosyjskiej. Koszt – 10 mld zł – nie jest dla mnie przerażający; na kopaniu okopów i betonowaniu schronów zarobią polskie firmy, znaczna część wydatków wróci w postaci podatków do budżetu. Większe mam lęki prywatne, jako amator krajofilstwa; pod pozorem bezpieczeństwa odetną mi dostęp do wspaniałości dóbr przyrodniczych, do Puszczy Białowieskiej, do polskiego fragmentu Puszczy Romnickiej, do Mazur Garbatych i wiaduktu w Stańczykach...Utracę możliwość swobodnej włóczęgi, zależny się stanę od kaprysów żandarmerii... Poddenerwowany taką perspektywą przerzucam pożółkłe karty historii, szukając uzasadnienia tych inwestycji w doświadczeniach sprzed lat.

Być może egoistyczne są ciążoty do swobodnego dostępu do dóbr przyrody. Nie podważam rangi bezpieczeństwa, inwestowanie w obronność jest dla mnie wyrazem patriotyzmu odpowiedzialności. I tak też to powinno być przez rząd „sprzedawane”. Odpowiedzialny człowiek ubezpiecza swój dom, im większe poczucie odpowiedzialności, tym szerszy, obejmujący sąsiedztwo, miasto, region, całe państwo zakres ubezpieczenia. Utrzymywanie sprawnego wojska jest też formą ubezpieczenia; przemoc wojenna jest złem, które także nas może dotknąć. Odpowiedzialność i wynikający z tego obowiązek solidarności, to jedno, ale zamiast mówić o tym, karmią nas strachem. Pokazuje się Rosję jako patologicznego agresora, który za 2-3 lata, po pokonaniu Ukrainy, przyjdzie do nas „wyrąbać” przesmyk suwalski. Mówi się o wojnie hybrydowej prowadzonej przez reżim Łukaszenki na zlecenie Putina; o nasyłaniu na nas zdesperowanych i uzbrojonych bandytów, zwanych migrantami. Premier wskazywał pożar w Warszawie i na Górnym Śląsku jako efekty działań tych nasyłanych dywersantów.

Strach rodzi nienawiść. Czy naprawdę chcemy żyć w kraju przepełnionym nienawiścią do wszystkich „obcych”, wśród ludzi czujnie wypatrujących „szpiegów”, gotowych odważnie brać sprawy we własne ręce, włącznie z linczowaniem „dywersantów”?

Jeśli ktoś uważa, że naród polski jest tak chrześcijański i tak kulturalny, że nigdy nie zarazi się nienawiścią; to niech poczyta o ofiarach paniki przed Niemcami, objawiającej się przed wrześniem 1939 r. (w tym o nieszczęściach napędzających spiralę zbrodni odwetowej w Bydgoszczy). Uznanie, że Rosja, bez względu jaka, będzie wiecznym zagrożeniem i wrogiem, odbiera możliwość pozytywnego marzenia o przyszłości bez wojen. Strach i nienawiść prowadzi do samoograniczenia naszej wolności, zamiast aktywnej solidarności tworzą atmosferę biernego poddaństwa.

Strach paraliżuje dyskusję o obronności. Nie jest jeszcze tak, jako doświadczył zagorzały piłsudczyk Cat-Mackiewicz, którego partyjni koledzy wsadzili do Berezy, gdy krytycznie napisał o „krzepkości naszej armii”. Nie mamy jeszcze Berezy, więc tego typu Mackiewiczów piętnuję się tylko nazywając „ruskimi agentami”. Ostracyzm jest mniej bolesny od pięści Kostka Biernackiego, ale w podobny sposób odbiera nam wolność słowa. W atmosferze nienawiści gładko przechodzi się od przemocy słownej do fizycznej. Pomimo tego dyskusja o obronności jest potrzebna i niezbędna, by – jak to się u nas mówi – nie dać się zwariować.

Pierwsza sprawa: nie potrzeba nam Napoleonów. Cechą naszej cywilizacji stał się rozdział wojska od polityki. Po smutnych doświadczeniach uznano, że wojsko nie może mieć możliwości sięgania po władzę w państwie; ma bronić Konstytucji i granic państwa, a nie uzurpować sobie prawo wprowadzania ładu i porządku. Jest to już w Europie oczywistością, ale pamiętać należy, że to równanie ma dwie strony. Niedopuszczalne jest, by polityk dowodził wojskiem. Owszem, Głowa Państwa, w naszym przypadku Prezydent RP, jest nominalnym naczelnym dowódcą, ale jest on jak król, który panuje, lecz nie rządzi. Politycy mogą i powinni wyznaczać polityczne cele, do których osiągnięcia przygotowane musi być wojsko. Politycy decydują o wojnie i pokoju, wybierają, kto jest wrogiem, a kto sojusznikiem, dążą do właściwego skoordynowania wszelkich działań wszelkich

instytucji państwa dla zwiększenia potencjału obronnego, ale z faktu, że ktoś został demokratycznie wybrany, nie wynika szczególna wiedza dotycząca strategii i taktyki wojskowej. Owszem zdarzali się, uważani za geniuszy, samoucy: Trocki, Piłsudski, Hitler, którzy realizowali – czasem z wielkim powodzeniem – ambicje dowodzenia armiami. To jednak wyjątki od reguły, a w dodatku choćby przykład Hitlera pokazuje, że ten geniusz przyniósł Niemcom więcej nieszczęść niż sukcesów. Armia to profesjonalna korporacja, dowodzenie wymaga specjalistycznej wiedzy. Takową posiada nie Prezydent, nie Premier, nie cywilny Minister Obrony Narodowej, lecz generał dowódca Sił Zbrojnych i służący mu Sztab Generalny.

W polityce, niestety, panuje moda na Napoleonów. Widoczne to jest w formie, z jaką eksminister Błaszczak ogłaszał decyzje o zakupach uzbrojenia; widoczne także, gdy premier Tusk, pomijając swojego ministra, oznajmiał o budowie rejonu umocnionego na granicy białoruskiej. Być może w obu wypadkach głos decydujący mieli doradcy, profesjonaliści w mundurach. Trudno, by ktoś za nich rozwiązał wszelkie problemy logistyczne związane z zakupem nowej broni. Supermaszyna do zabijania, jaką jest czołg Abrams, jest tylko 60-tonową kupą złomu, jeśli nie zapewnimy w odpowiedniej ilości amunicji, paliwa, możliwości serwisowania, możliwości przemieszczania, a zwłaszcza odpowiednio wykształconej załogi. Jeszcze większe problemy wiążą się z budową stałej linii obronnej, choć taka inwestycja ochoczo popierana jest przez firmy budowlane.

Umocnienie granic jest spadkiem po strategii stosowanej w czasie I wojny światowej, gdy przeszła ona w fazę wojny pozycyjnej. Doświadczenia II wojny światowej raczej nie potwierdziły skuteczności „bunkrowania” granic. W Polsce można podziwiać wiele zabytków, pozostałości takich linii obronnych. Niedaleko Gorzowa Wielkopolskiego są piękne korytarze Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, w Przemyśle ślady „linii Mołotowa”, na Górnym Śląsku zachowały się bunkry polskie i niemieckie, pieczołowicie zabezpieczane przez lokalnych

amatorów historii wojskowości. Ani linia Maginota, ani Zygfryda, ani Mołotowa, nie okazały się skutecznymi barierami. Problem 1939 roku nie polegał na braku bunkrów na zachodniej granicy; istotniejsze były inne walory logistyczne. Tempo przemarszu polskiej armii wynosiło ok. 50 km dziennie, niemieckiej ok. 70 km, co – oprócz przewagi liczebnej – stanowiło o przegranej wojnie manewrowej.

Jakie zatem względy strategiczne przemawiają za budową linii Maginota pod Hajnówką? Bezdyskusyjne wydaje się inwestowanie w infrastrukturę logistyczną, zwłaszcza w tory kolejowe, umożliwiające ewentualne zaopatrzenie walczącego tu wojska; przydatne byłoby także przygotowanie i zmagazynowanie prefabrykatów, umożliwiających szybką budowę umocnień, w miejscu, gdzie rzeczywiście zajdzie taka potrzeba. Najistotniejsze jednak, by działania podejmowane były z inicjatywy i na wniosek Sztabu Generalnego, dostosowane do wojskowych planów strategicznych. Jako laik widzę dziś większe problemy z „przesmykiem suwalskim” po rosyjskiej stronie. Atak wymagałby wciągnięcia do wojny Białorusi, a ta ryzykowałaby najbardziej. Nikomu nie opłaca się bronić na własnej ziemi; odrzucenie ataku i kontrofensywa mogłaby przenieść polską (a raczej NATO-wską) linię obrony pod Pińsk lub Mińsk, przy okazji doprowadzić do likwidacji regionu kaliningradzkiego. Białoruś, piszę to ze smutkiem, byłaby największą ofiarą wojny o „przesmyk suwalski”; to powinno utkwąć w przekonaniu Łukaszenki. Nie wnikam, tu jako laik, w kwestię, czy po stratach poniesionych na Ukrainie, armia rosyjska zdolna jest do prowadzenia kolejnej wojny. Odbudowa zasobów ludzkich i materialnych wymaga długiego czasu.

Padło ze strony premiera określenie sugerujące, że budowa linii obronnych jest konieczna z powodu trwającej „wojny hybrydowej”. Jeśli taki argument podsunął Tusкови Sztab Generalny, to znaczy, że nasze wojsko wymaga gruntownej przebudowy personalnej. Ochronić się przed ambicjami politycznych Napoleonów mogą jedynie generałowie wyposażeni w

„cojones”, pilnujący, by żołnierzy nie wciągać w niepotrzebne awantury.

Nie nadużywajmy słów o wojnie hybrydowej. Takowa toczyła się na wschodniej granicy RP w latach 1921-24; gdy uzbrojone bandy bolszewickie przekraczały granicę, siejąc spustoszenia, śmierć, niszcząc majątek prywatny i publiczny. Nie da się z tym porównać przestępczego procederu przemytu ludzi. Przedwojenną odpowiedzią na realną wojnę hybrydową nie było kierowanie na granicę wojska, ale tworzenie specjalistycznego Korpusu Obrony Pogranicza. Korpusu zdolnego wykonywać zarówno zadania wojskowe, jak i policyjne. Uznano, że walka z bandytyzmem jest zadaniem policyjnym, wymagającym policyjnego przygotowania. Wojsko tego robić nie potrafi, bo nie jest do tego szkolone. Taką też opinię powinien mieć odwagę wypowiedzieć szef Sztabu Generalnego WP, gdy politycy rządowi naciskają na wysyłanie żołnierzy do pilnowania granicznego płotu.

Politycy skorzystali z okazji, by hołd złożyć bohaterowi poległemu w obronie granicy. Nie przyszło im do głowy, że ten 21-letni chłopiec jest ofiarą ich bezmyślności. Młody żołnierz z Brygady Pancерnej by wyszkolony do prowadzenia czołgu, a nie do tłumienia zadymy. Postawiono go, bezradnego, w obliczu zdesperowanej grupy uzbrojonej w pałki i noże. Każda formacja ma swoje zadania i związane z tym systemy szkoleń. Policja, a zwłaszcza oddziały prewencji, szkolą co robić, gdy przyjdzie uspokajać zdesperowany tłum, przygotowując, że nawet w pokojowej manifestacji może ujawnić się szalenie z siekierą. Czołgistów tego nie uczą, bo nie od tego są. Kto więc wpadł na pomysł, kto ponosi odpowiedzialność za wysłanie chłopca po śmierć? A potem z własnej nieodpowiedzialności czynienie dowodu patriotyzmu... Nieodpowiedzialnością jest polityczne prężenie mięśni, kierowanie na granicę czołgistów, komandosów, saperów, marynarzy. Jeśli to konieczne, trzeba wzmocnić Straż Graniczną, być może też przydatne byłoby tworzenie i przeszkolenie odpowiednika amerykańskiej Gwardii

Narodowej, przygotowanej do tłumienia zamieszek. Wojsko jest szykowane do walki z agresją zbrojną, a nie z szaleństwami zdesperowanego nożownika.

Płotów granicznych na świecie nie brak, jest gdzie podpatrywać doświadczenia, od kogo się uczyć. Każdy płot jest dziurawy, także ten wzorcowy na granicy USA z Meksykiem. Żaden nie gwarantuje bezpieczeństwa, o czym świadczy atak bandytów z Hamasu na izraelskie dzieci. Patent z płotem przypomina pomysł z zamykaniem kibiców w klatkach na stadionach. Zamknięci jak małpy w zoo odpowiadali zwiększoną agresją. Mimo to klatki budowano, bo dla odbiorców w społeczności były świadectwem, że rząd coś robi w sprawie chuligaństwa. Płot graniczny jest takim samym alibi dla rządu... Z przemytem ludzi przez granicę można i należy walczyć metodami policyjnymi. Nie za płot, ale za kraty polskich więzień powinni trafić organizatorzy tego procederu; to ich surowymi karami należy odstraszać.

Premier Tusk powtarza za ministrem Kamińskim tezy o udziale w tym procederze urzędników i funkcjonariuszy białoruskich, a być może także rosyjskich. Być może tak jest, ale już Kamiński przyznał przed laty, że nie ma na to „twardych” dowodów. Co więc robią nasze służby specjalne? Zbierają plotki, czy szukają owych twardych dowodów? Co robi rząd z informacjami zebranymi przez służby? Czy zagroził Łukaszence sankcjami za prowadzenie „wojny hybrydowej”? Jak wytłumaczyć lekko ferowane oskarżenia połączone z jednoczesnym „realizmem gospodarczym”? Problem na granicy narastał, wzywano UE do zaostrzenia sankcji przeciw Rosji, a jednocześnie w 2023 r. obrót gospodarczy z Białorusią zwiększył się o 1 mld euro. Jeśli nawozy sztuczne mają dla Polski większą wartość niż spokój na granicy, to niech politycy mają odwagę to powiedzieć. Za herezję uznano by pomysł, by zamknąć kolejowe przejścia graniczne, jeśli Łukaszenko nie zdecyduje się na uspokojenie sytuacji. Jak to? Po zamknięciu przejść przestałby wjeżdżać na polski rynek chiński towar; Łukaszenko nie zarabiałby na tranzycie; my byśmy nie mogli generować większego deficytu w handlu z

Państwem Środka, a nasz Prezydent nie byłby tam tak mile widziany... Patriotyzm strachu dyskretnie łączy się z realpolityką. To kolejna cecha upodabniająca pana Tuska do pana Kaczyńskiego.

Wojna to zbyt poważna sprawa by mogła być traktowana jako „złoto wyborcze”. Życie ludzi jest zbyt cenne, by zmieniać je w szczebel drabiny dla karierowiczów. Zbyt drogie jest uczenie się na własnych błędach, skoro przeszłość to niewyczerpany ich zasób. Jedno dla mnie jest oczywiste. Nazwa Rzeczpospolita zobowiązuje, by Polska była krajem ludzi wolnych i odpowiedzialnych. Nie zasługujemy, by tresowano nas strachem i nienawiścią.

Autorstwo: Jarosław Kapsa

Źródło: FundacjaWiP.wordpress.com